Lwów, 26. Września. №115. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr.— kwartalna 1 Złr. 30 kr.— miesieczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłka pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XI.

(Ciąg dalszy).

Przyszedłszy Kamil po herbacie, która się prawie razem z obiadem odbyła, do swego pokoju, zaczął rozbierać pomału to wszystko co się stało, co się stać mogło i jakieby ztąd i zowąd mogły wyniknąć dla niego skutki? — I długo tak myślał nad wszystkiemi możliwościami i podobieństwami, a chociaż tem myśleniem, nie mającem żadnej pewnej podstawy, ani żadnej jasnej drogi przed sobą, tylko się gubił w jakiejś mglistej atmosferze ducha, jednak nie porzucał tej zabawki czy pracy i na niej całą resztę wieczoru przepędził. A kiedy tak zatopiony w sobie po raz tysiączny już swoją izbę niewielką wolnemi krokami przemierzał, dało mu się słyszeć lekkie pukanie do drzwi.

— Któż tam! — zawołał na ten głos zamyślony młodzieniec, wzdrygając się przy tem, jak to zwykle się zdarza ludziom cokolwiek nerwowym i pracującym więcej umysłem niż ciałem, kiedy śród ciszy nagle jakiś niespodziewany odgłos ich zbudzi.

Na to wezwanie odsunęły się drzwi pomału i wsunął się do izby stary stangret jenerała. Był to człowiek napozór podeszłego już wieku, nie wyniosłej lecz silnej i krępej budowy ciała, z ogromnemi siwemi wąsami i takiemiż bakenbardami, zakrywającemi prawie połowę twarzy, na której pomimo to jednak dosyć jawnie widać było bardzo odpowiednią wiekowi, lecz sprzeczającą się ze stanem, bo trochę dumną powagę. Wszedłszy do izby, postąpił on zaraz o parę kroków naprzód i rzekł: — Dobry wieczór paniczowi. Nie czekając odpowiedzi, oglądnął się na około i spytał:

— Proszę panicza, a czy nie zaglądnie tu kto do nas przez okno?

Zdziwiony Kamil tem wcale niespodziewanem zjawiskiem, podejrzliwy z natury a do tego jeszcze teraz tak się wszystkiego bojący, odsunął się o parę kroków od niego i odpowiedział:

— Nie rozumiem, co-by to szkodziło, gdyby ktoś tutaj zaglądnął, ale zaglądnąć nie może, boć przecie to okno wisi nad samą przepaścią i chyba ptak do niego doleci.

— A! to—to to okno! — mówił dalej stary sługa, — a nie ma tu gdzie drzwi jakich na boku?

— Prócz tych jednych, żadnej innej nie ma komunikacyi, — odpowiedział Kamil, coraz dziwniejszemi patrząc na tego nocnego gościa oczyma.

— Nie ma komunikacyi, to dobrze, bo nas nikt nie podsłucha. Bo to panicz nie wiesz, co tu za szpiegostwo jest wszędzie w tym domu.

To mówiąc, usiadł starzec na kufrze Kamila, dobył starej rogowej tabakierki, zażył potężnie tabaki i chrypliwym półgłosem tak zaczął mówić:

— Otóż to ja zakradł się tu do panicza, bo mam jeden sekretny interes, i powiem wszystko, bo mi tak każe sumienie, ale musisz mi panicz przysiądz, że jeno ja i panicz i pan Bóg nad nami, a gęba na kłódkę na wiek i wieków.

— Jeżeli tego będzie wymagać potrzeba.. rzekł na to Kamil, zawsze jeszcze niedowierzający i zawsze w obawie, — to możecie być pewni, że będę milczał jak grób. Ale...

— No, to już dosyć, ja wierzę, — rzekł na to starzec, — komu innemu może-bym nie uwierzył, bo to i ja już nauczony i nieraz. Różnie się zdarzało na świecie i był-by człowiek już zginął sto razy, gdyby nie to, że się nielada komu wierzyło. Otóż to właśnie, że panicz taki niewierny, to mi się w paniczu podoba, bo to w dzisiejszych czasach uczciwy człowiek musi być zawsze jak mysz na pudle, — a co to dopiero w tym naszym dworze! Nie bez tego, żebyś i panicz o tem nie wiedział, ale nie zaszkodzi powtórzyć, że może-by człowiek i kraj cały przedeptał a nie nadybał-by drugiego tak paskudnego dworzyska, jak ot ten nasz, jeneralski. Cała ta służba nasza, od komisarza aż do ostatniego kuchcika, co pali pod kuchnią, wszystko takie łajdactwo, że jeno-by ich żywcem posłać do wszystkich djabłów. Myślę ja to sobie nieraz, żeby to pan Bóg dał co kiedy na świecie, jak to dawniej bywało, to już ja-bym tu zrobił z nimi porządek. Bo to wszystko jeden w drugiego i złodziej i szpieg; okradli-by byli już dotychczas dom cały, żeby się tak nie szpiegowali. Ale to szpiegostwo a nad nimi jenerał z batogiem, to ich jakoś utrzymuje tak w kupie.

Kamil przysunął się bliżej do starca a ten powolnym głosem, jak gdyby się zastanawiał nad każdem słowem, tak mówił dalej:

— Otóż-to panicz pewnie się dziwi, jak to się takie poczciwe człeczysko jak stary Mateusz, dostało pomiędzy takie łotrostwo? — Bo to trza paniczowi wiedzieć, że to ja nie tutejszy, jeno aż od Radomia, i ani mi się śniło kiedy, żebym pod takim batogiem przefurmanił całe życie gdzieś aż na węgierskiej granicy. I nie na furmana też się człowiek urodził. Bom to przecie wszedł sobie za młodu jak należy do wojska i jużem był aktualnym sierżantem. I służyło się poczciwie jak pan Bóg przykazał, a ot jest i świadectwo.

To mówiąc, otworzył kamizelkę i koszulę na piersiach, i pokazał Kamilowi tam zachowany mały krzyżyk wojskowy.

— Ach! mój Mateuszu! — zawołał na to z głębokim żalem Kamil, — czemuż ja was pierwej nie poznał!

— Cyt! — syknął z tajemniczą miną Mateusz, — wiele nas jest a nie wszyscy się znamy. Boć i nie o to idzie, ażebyśmy się znali, jeno ażebyśmy byli.

— Prawda, prawda, — zawołał niezmiernie teraz uradowany z swego gościa młodzieniec, — ale jakimże sposobem dostaliście się w służbę do jenerała?

— Ot! jakim sposobem! Nieszczęście panie i koniec. Długa-by to historya opowiadać wszystko jak było. Ale krótko a węzłowato: w roku dwunastym, czy to za grzech jaki, czy przez głupstwo moje, dostałem się w niewolę. Jeniec musi robić wszystko, co mu rozkażą, otóż mnie wziął pułkownik do swoich koni, potem mnie z temi końmi razem sprzedał jenerałowi, któren jeszcze wtenczas był tylko majorem, i tak się do niego dostałem.

— Ale to tyle lat temu! zmiłujcie się! — zawołał Kamił, — czyż nie można się było przez ten czas jakoś z tej służby wydobyć?

— Et! lepiej-by już o tem nie gadać. Bo jużciż próbowało się panie wszystkiego, ale czy to panicz nie wie, na czem to się kończą takie próby? Gorzej zawsze po próbie, jak było przed próbą.

— A uciec? — zapytał Kamil.

— Oj! uciekłem panie, uciekłem. I to nawet niedawno, bo jakoś właśnie teraz około Bożego Narodzenia będzie temu lat sześć. Jeszcześmy tenczas mieszkali na tamtych dobrach podolskich. Było to właśnie pod ową porę, co to panicz wie, i ja już sam zacząłem był myśleć, że kiedy uciekać, to teraz, albo chyba już nigdy, bo było gdzie. Aż też przysłali do mnie dnia jednego dwaj panicze z sąsiedztwa swego lokaja, prosząc mnie, ażebym z nimi tam szedł. Serce mnie uderzyło z radości... bo to człowiek zawsze jakoś bespieczniejszy przy drugich niżeli sam; więc nie namyślając się nic, wymknąłem się zaraz tego wieczora ze stajni i pobiegłem do nich. Ale jak to zwyczajnie u naszych panów! jak się wzięli namyślać a wybierać a guzdrać, to ten konia jeszcze jakiegoś kupował, tamten koniecznie jakąś dubeltówkę chciał wziąć ze sobą, która była gdzieś w reperacyi, to znowu czekali na jakiegoś sąsiada, który miał z nimi iść, — aż też tymczasem wyszpiegowali mnie słudzy jeneralscy i jednej nocy wpadł na mnie mandataryusz ze siepaczami i przyprowadził w kajdanach do domu. Kiedym stanął przed jenerałem, strach panie! sąd boży zrobił się w całym domu, krygzrecht zawołali na mnie. I wsadził mnie potem do turmy o chlebie i wodzie na cztery tygodnie, i bito mnie przez te cztery tygodnie co tydzień, podług przepisu samego jenerała. A kiedym wycierpiał te męki, dano mnie na prostego parobka do stajni na cały rok.

— O! Boże, Boże! — zawołał na to Kamil ze łzami w oczach, — ileż to cierpień i łez na tej ziemi!

— O! tak mój paniczu, tak, — ciągnął dalej coraz powolniejszym głosem Mateusz, — wycierpiało się już nie mało w tem życiu i cierpi się wciąż jeszcze, bo jeżeli człek żyje czem, to tylko nadzieją. Ale takie życie nie idzie na zdrowie; musi też to być znać także i po mnie, boć to przecie niemam jeszcze więcej teraz jak czterdzieści i siedm lat, a jużem zgarbiony i zesiwiały, jak gdybym miał z ośmdziesiąt. Tak to panie w nieszczęściu.

— O! tak, tak, — powtórzył Kamil bezwiednie.

Spojrzał Mateusz badawczem okiem na Kamila, westchnął z głębi piersi, zażył tabaki i tak dalej prowadził rzecz:

— Otóż to jak tylko się panicz pojawił na naszym dworze, i zaczął tak cichuteńko siedzieć w swoim pokoju, unikając nawet ludzkiego wzroku, zaraz my to sobie gadali z leśniczym, że to pewnie musi być nasz. Bo to trzeba paniczowi wiedzieć, że nasz leśniczy, to człowiek co ale, i kowal tu jest niczego, we wsi, i ekonom w Jodełce człek tęgi, i xiądz też także pogada sobie czasem z nami, a już to pomiędzy rzemieślnikami i czeladzią przy fabrykach jest ich tam nie mało. Otóż tak my sobie to różnie o paniczu gadali i jużeśmy raz tak uradzili, żeby się koniecznie paniczowi ogłosić; bo i paniczowi było-by się pewnie o dużo lżej zrobiło na sercu, jakby się był przekonał, że to nie cały już taki świat jak ten dwór, i nam-by z tem dobrze było, to-byśmy się byli przecie i to i owo dowiedzieli od niego, co się tam dzieje na świecie. Ale jakoś właśnie natenczas pojawił się był w gościnie u leśniczego pan Szłyk....

— Szłyk? — zawołał Kamil, — proszę was, to on tu bywa czasami?

— O! jużci bywa! — odpowiedział Mateusz, — zwłaszcza od tego czasu, jak panicz tu jesteś, toć-to i przyjaźń się już teraz zawiązała pomiędzy nim i leśniczym, i kowala tam czasem przypuszczają do siebie. I to chwała Bogu, bo ten Szłyk to człowiek nie mały, bywał po całym świecie a kiedy zacznie mówić, to aż się serce człowiekowi rozpływa. I ja też tam czasem w niedzielę jakie słówko przy nich obliżę, boć to i ja tam bywam pomiędzy nimi. Otóż pan Szłyk nam tego odradził, mówiąc, że moglibyśmy tem zgubić panicza. Nie sprzeciwialiśmy

się temu, i tak to jakoś zeszło aż do dnia dzisiejszego. Ale dzisiaj to już trza było mi się zgłosić koniecznie, boby mi spać nie dało sumienie.

— Proszę was, cóż to jest takiego? — zapytał Kamil śród gwałtownego natłoku różnych uczuć i myśli o tem, co się dowiedział od starego stangreta.

— Zaraz to panie, zaraz, — mówił opowiadający, zażywając tabaki, — bo to widzi panicz, może to w tem być i nic, ale zawsze nie szkodzi wiedzieć. Otoż-to panie, pani marszałkowa, kiedy wyjeżdżała z domu dziś rano, powiedziała wszystkim, że jedzie do kościoła. Czy prawda?

— A prawda, tak powiedziała, — odpowiedział Kamil.

— Ale przez to ona była gdzieindziej, bo ino wstąpiła do kościoła jakby na jeden pacierz i kazała mi jechać prosto do Czarnogrodu. Panicz może i nie wie, co to jest Czarnogród?

— Podobno miasteczko jakieś?

— Tak, tak, miasteczko o półtrzeciej mili odległe.

— I cóż ona tam robiła?

— Już co tam robiła, — rzekł na to ciągnąc dalej swoje opowiadanie gadatliwy Mateusz, — to ja tego na pewno nie wiem, bom za nią nie chodził. Ale tak było. Kiedyśmy wjechali w miasteczko, kazała mi pani marszałkowa stanąć na rynku. Na rynku też wysiadła z karety i powiedziała mi: Jedź aspan do karczmy i popaś konie, a jak popasiesz, wyjeżdżaj aspan na rynek. Bo trzeba paniczowi wiedzieć, że pani marszałkowa od tego czasu, jak się dowiedziała, żem na moje własne oczy widział Napoleona i xięcia Józefa, zawsze mówi mi aspan. Ale nie dam ja sobie tem oczu zamydlić i wiem ja dobrze, jaka to zausznica naszego pana. Otóż tak powiedziawszy, poszła z kamerdynerem precz gdzieś do miasta. Co tam robili i kędy chodzili, tego już nie wiem, wypytywałem ja tak zdaleka kamerdynera o to, ale to szelma nad szelmami, więc nie powiedział mi nic. Ale kiedym już z popasionemi końmi stał znowu na rynku, to pani marszałkowa powracała prosto z tej kancelaryi, gdzie to mnie raz za tytuń węgierski brano na konfessaty i jakiś pan ją aż do karety odprowadził, kłaniając się jej bardzo nisko i mówiąc z nią coś po niemiecku. Potem puściliśmy się na powrót do domu; nimeśmy przyjechali pod las kazała mi stanąć i przez okno od karety tak rzekła do mnie: słuchaj-no aspan, pan jenerał podług swego zwyczajnego kaprysu sprzeciwiał się temu, ażebym dzisiaj jechała do kościoła. Gdyby się dowiedział, żeśmy aż do miasteczka jeździli, to-by się może na prawdę pogniewał, pamiętaj-że nie wspominać o tem nic a tu masz na piwo. To mówiąc podawała mi dukata przez okno, ale ja go nie wziąłem, tłumacząc się tem, że mi teraz nie potrzeba pieniędzy i uspokajając ją, że się pan jenerał pewnie nawet i pytać nie będzie. I otóż to cała rzecz.

— Proszę was, — rzekł Kamil na to, namyślając się nad tem, — to doprawdy jest dziwna historya. Bo po cóżby do kata ona tam jeździła?

— Otóż-to jest w tem sęk! — rzekł na to z tajemniczą miną woźnica, — bo to djabeł nie spi. Ja już nikomu teraz nie wierzę, a nie dopieroż babom, co to się kochają na starość.

— Jakto, co się kochają? — spytał Kamil zdziwiony.

— O! alboż to sekret panie, że tam coś jest pomiędzy państwem obojgiem?

— Pomiędzy kim?

— E! daj-no panicz pokój, bo na co to się wypierać. Toż-to ludzie przecie nie ślepi i nie mają pozatykanych uszu, a jeszcze ci nasi, co to słyszą jak trawa rośnie a czasem nawet i tam ją słyszą, gdzie całkiem nawet nie rośnie.

— Ale Mateuszu! ja wam głowę moją stawię w zakład że nie masz nic między nami! — zawołał Kamil z energiją.

— Może i to być, — rzekł kiwając głową stary woźnica, — może być, że panicz nie masz ku niej serca, ale że ona się w paniczu pokochała, to już-to pewna jak Bóg na niebie.

— No dobrze, ale cóż-by to mogło mieć za styczność z jej jazdą do miasta?

— Ja niewiem nic na pewno, ale pokłóciliście się państwo we Czwartek ze sobą....

— A! — zawołał Kamil na to, nie mogąc się pojąć z zdziwienia, — tego ja już nie pojmuję!

— I podobno się wszystko wydało, — ciągnął dalej Mateusz, — toć to musi być okrutnie złą za to pani Marszałkowa. A kobiety, kiedy złe są to mszczą się.

— Mszczą się! — powtórzył Kamil.

— Tak, mszczą się, a osobliwie za zdradę. A mają one różne ku temu sposoby. Niedawno temu jedna tutaj dziewczyna ze wsi darowała naszemu fornalowi placek owsiany... na swoje szczęście fornal jakoś niedowierzał dziewczynie i dał ten placek zjeść kundysowi. I panie, jeszcze go psisko ani do połowy nie zjadło, kiedy zaskowyczało i padło bez ducha. Za strucie takiego kundysa, po którego leśniczy aż na Węgry był jeździł, pan jenerał kazał fornalowi dać pięcdziesiąt batogów, ale i tak jeszcze dobrze wyszedł na tem nieborak, bo juściż składniej człowiekowi wytrzymać pięćdziesiąt batogów, niż śmierć. A ja ręczę paniczowi za to, że Marszałkowa wstępowała do apteki, bo nawet sam widziałem, że kamerdyner przyniosł za nią kilka sporych flaszek.

— E! — rzekł Kamil na to, — bodaj-by się tylko tutaj co innego nie święciło, jak aptekarskie flaszeczki.

— Już ja tam nie wiem co, ale coś tu się koniecznie w tem święci.

— Tak, tu się coś święci, — rzekł Kamil stanowczo — przedewszystkiem trzeba o tem jenerałowi powiedzieć.

— O! alboż-to nie wie już o tem jenerał? — rzekł na to Mateusz spokojnie.

— Wie? a któż mu powiedział?

— O! a jużci ja przecie.

— Wy sami? wy? a toż dla czego?

— Dla czego? a tóż-to bym ja sobie dał pieprzu mój panie, żebym ja zrobiwszy albo obaczywszy coś takiego, do czego nie było wyraźnego roskazu, nie zameldował tego zaraz jenerałowi!

Kamil patrzał z coraz większem zdziwieniem na Mateusza, nareszcie załamał ręce i rzekł:

— A! to prawda! szpiegostwo stało się już naturą tym ludziom i sami nawet o tem nie wiedzą!... I cóż-eście powiedzieli jenerałowi?

— Przyszedłem do niego i rzekłem: Melduję jaśnie panu, żeśmy z kościoła jeździli do Czarnogrodu, popaśliśmy tam i w dobrem zdrowiu wrócili do domu.

— A jenerał cóż na to?

— Ha, nic panie, spojrzał na mnie, pomyślał trochę, spytał, czy nie ma co więcej? i kiwnął ręką, ażebym odszedł.

— Więc jenerał wie o tem! — rzekł Kamil na to, zamyślając się znowu.

— A jużci wie, i panicz już wiesz teraz. Bądź-że panicz ostrożny, nie przyjmuj nic z ręki marszałkowej, uważaj, czy co nie wrzuci do twojej szklanki albo do talerza albo do filiżanki, bo z takiemi babami to nie ma żartu. U nich życie człowieka, to nic. Zgubią, roześmieją się i myślą sobie: będzie drugi. I to najgorsza, że się trafi taki głupi, co będzie drugim, dobrze jeszcze jeżeli nie piątym albo i dziesiątym. No! otóż-to tak! Teraz aż mi lżej jakoś na sercu, że się poczciwemu człowiekowi wyrządziło poczciwość. Bodaj-by się choć co tydzień trafiła okazya po temu, może-by człowiek nie czuł tak swojej biedy. Bądź-że sobie panicz zdrów, nie frasuj się tem, bo pan Bóg jest na niebie i czuwa nad nami, a pamiętaj o tem, że jeno ja i ty i Bóg trzeci a gęba na kłódkę na wieki wieków. (C. d. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAINKA.“

Akt drugi.

(Scena dzieje się w Warszawie w mieszkaniu Włodzimierza.

Scena trzecia.

(**Szambelan** wchodzi i wita z affektowaną serdecznością Włodziemierza który jest ciągle obojętny).

Szamb. Bon jour! jak się masz, jak się masz mój drogi,
Włodz. A, a dzień dobry.
Szamb. Ledwo błysły zorze,
Ja rzucam moje sybaryckie łoże,
I spieszę w twoje tak gościnne progi,
Taka sympatia ciągnie mnie do ciebie,
Że odkąd tylko bawisz tu w Warszawie
Tom już przy tobie szczęśliwy jak w niebie,
Ale bez ciebie żyć nie mogę prawie.
Włodz. Dziękuję bardzo.
Szamb. To nie komplementa,
Parole d'honneur, to jest prawda święta.
Ale tu widzę gości miałeś wprzódy?
Właśnie się trochę na wschodach wstrzymałem,
Patrzę wychodzi jakiś człowiek młody,
Z wejrzeniem groźnem i dumnem i śmiałem,
Ażem się przeląkł, aż uciekać chciałem. (z ironiją.)
Bo to był barski konfederat dzielny,
Zbawca ojczyzny, a mój wróg śmiertelny,
Nie wiele my się wprawdzie z sobą znamy,
Ale tak już coś do siebie cierpiemy,
Że gdy się kiedy ze sobą spotkamy,
To takiem okiem na siebie spojrzemy,
Że... aż się boję, prawdziwie się boję.
Włodz. Czemu?
Szamb. (śmiejąc się.) A gdyby dobył szablę swoję,
Przed którą tyle już wrogów pierzchało,
Cóż by się z biedną mą persona stało?
Barscy panowie, to prawdziwie sławni!
Niech się schowają bohaterzy dawni,
Jakim jest dzisiaj Pan Zasławski Jerzy!
Mała różnica między niemi leży;
Bo co innego jest ojczyznę bronić,
A inna wichrzyć; piersiami zasłonić
Króla, a w niego morderczo ugodzić,
Inna rzecz rany narodu łagodzić,
A....
Włodz. (oburzony.) Szambelanie!
Szamb. A, a zapomniałem,
Żeś także z nimi był w stosunku małem.
Włodz. Nie małem; z niemi wraz ciągle walczyłem,
I złe czy dobre ich losy dzieliłem.
Szamb. Doprawdy? proszę! lecz któż by mógł wierzyć,
Żebyś na prawdę chciał także należyć,
Do śmiesznej walki, gdzie mnich był na czele
Różnorodnego, a ciemnego tłumu,
Gdzie miast odwagi i miasto rozumu,
Li fanatyzmu i przesądów wiele,
Gdzie okrzyk boju był ponoś: Hozanna!
I jak słyszałem głównym Jenerałem,
Była prócz mnicha i Najświętsza Panna. (śmieje się.)
Włodz. (n s.) Ha! już doprawdy brak mi cierpliwości,
Lecz on w mym domu, prawa gościnności,
Swiętym mi robią, kto wstąpił w me progi.
Szam. Ha, ha, ha! tylko zważ sobie mój drogi,
Że my znów w średnie powracamy wieki,
I co w przeszłości zginęło dalekiej,
Co niegdyś piękne, dziś zgniłe w jej grobie,
My teraz znowu odkopali sobie,
I... postawili na ołtarz... upiora!
Ah! biedna Polska! a to właśnie pora,
Kiedy się zachód przesądów pozbywa,
Posąg religii ze śmiechem obala.

I filozofją.. z więzów się wyzwala,
U nas... Doprawdy że to nas tak gniewa,
Nas filozofów, że się aż rumieniem,
Gdy nas Polaków kto nazwie imieniem.

Włodz. (ob.) Więc się ojczyzny twojej świętej wstydzisz?
Więc w świętej wierze, tylko przesąd widzisz?
A wiara żywa ta, aż w niebo wzrosła,
I ludzkość całą swemi skrzydły wzniosła,
I coraz wyżej wznosi i przemienia,
Aż ludzkość zrzuci krew i ziemskie kały,
Szatą się natchnień odzieje z promieni,
W wieniec swój wprawi łez czystych krzystały,
I z palmą cierpień i z kornie schylonem
Czołem, uklęknie tam przed ojca tronem.

Szambelan (nuci sobie coś po cichu, a potem pyta nagle:)
Podobno cuda jakieście widzieli?

Włodz. Tak jest, widocznie Bóg wtedy był z nami.

Szamb. Ale niebardzo waleczni anieli,
I Matki Boskiej miecz musi być tępy,
Kiedy niebiańskich żołnierzy zastępy,
Co przed Puławskim w awantgardzie stali,
Musiały pierzchnąć przed kulą Moskali,
Oj, jabym także chciał widzieć cud jaki!

Włodz. Ty, niedowiarku, śmiałbyś cudu żądać,
Chciałbyś wpatrywać się w niebieskie znaki,
Chciałbyś aniołów oblicze oglądać,
A masz ty serce człowiecze wśród łona,
A w temże sercu bieży krew czerwona?
Cuda, są tylko dla ócz wiernych tłumu;
Ale oczyma zimnego rozumu,
Cudu nie ujrzysz, chyba Baltazara
Płomienną rękę w dniu ostatnim trwogi,
Gdy ci napisze: Kara wieczna, kara!

Szamb. O za cud taki dziękuję mój drogi.
A ten ksiądz Marek cudotworca nowy,
Był zdaje mi się troszkę za surowy,
Nie dość że sam się dyscypliną chłostał,
Lecz nią podobno nie jeden z was dostał.

Włodz. Lecz Szambelanie wszystko błędnie widzisz,
Z najświętszych rzeczy zimno tylko szydzisz,
A nawet niewiesz jak, i co to było.

Szamb. Było nie było, wychodzi na jedno,
Kiedy tak mówią. To troszkę niemiło,
Gdy się z nas śmieją, a tę sprawę biedną,
Tak obrócili już w śmieszność na dworze
Króla, że każdy dodaje co może,
I świat nasz piękny, panowie i damy
Z konfederatów tych zabawkę mamy.
Szczęściem dla ciebie, że czy niewiedzieli,
Żeś tam był także, czy też zapomnieli,
Dla tegoś wszędzie tak dobrze widziany,
Wszędzie lubiony, prawie wyrywany.
Zważałem wczoraj żeś zajął rozmową,
Księżniczkę Izę, księżnę Augustową,
Niezły początek!
(bierze go za rękę, i mówi tonem szczerości.)
Już raz zobaczyłeś,
Gdzie źródło szczęścia, to go już nie rzucisz,
Kiedy młodości długi opłaciłeś,
Do dawnych szałów już nigdy nie wrócisz.
Zrobi się teraz inny człowiek z ciebie.
Nie ten co modli i marzy o niebie,
Ale co umie sam sobie poradzić,
Bez Boga, modłów, na ziemię sprowadzić
Niebo *dla siebie*. O już ci nie trzeba,
Modłą kołatać do pustego nieba....

Włodz. Więc już i Boga istności zaprzeczasz?

Szam. Boga? Na prawdę że mnie znów rozśmieszasz!
Wszak filozofija nie jest wcale zerem,
A filozofi z swym wodzem Wolterem,
Religię naszą za błędną uznali.
I... Pana Boga zdetronizowali. (śmieje się.)
A nota bene z tak wzniosłego tronu,
Z tej Jeruzalem, z górnego Sijonu,
Spaść na dół, to trza kark złamać koniecznie.
Ale bo miałże panować już wiecznie,
I rządzić światem, kiedy taki stary?
Lepiej podobno bez Boga i wiary!
Wiesz co, i u nas także tak trza zrobić,
Ale do tego trza lud przysposobić.

Włodz. Odjąć ludowi jego śliczną wiarę,
Co mu jedyna słodzi życia czarę,
Co goi rany śmiertelnego grotu,
Co mu użycza swych skrzydeł do lotu,
By po nad ziemskie wyniósł się cierpienia?

Szam. Ależ to tylko ułuda, marzenia!
Już puch męzki czerni ci się na twarzy,
A myśl się twoja jeszcze nie odważy,
Iść wolno sama; jeszcze nie wyrosła,
Z pieluchów ducha, z przesądów łańcucha,
Nie śmie iść tam, gdzie prawda naga, wzniosła,
Panuje sama bez wyższego bóstwa.
Hm! hm! Religija potrzebna dla mnóstwa!
Lud biedny, jemu religii potrzeba!
Ej! nie religii ale kawał chleba,
Materialnego bytu polepszenia,
Ale nie jakiejś tam duszy, sumienia.
Kiedy lud głodny, każ mu summę śpiewać,
Kiedy on nagi lata się spodziewać,
Kiedy on pada znużon ciężką pracą,
Powiedz, że za to w niebie mu zapłacą!
O my tu wszyscyśmy filozofami,
I ty tak będziesz, byleś został z nami,
A jeśli mi się wprowadzić cię uda,
Na nasze sławne czwartkowe wieczerze,
Zobaczysz nowe, lecz prawdziwe cuda,
Bo tam się wielkie namaszczenie bierze,
By w krótkim czasie być głośnym przed światem,
Esprit-fort, geniuszem, mądrym, literatem,
Kto tylko czem chce!

Włodz. Bardzo dziękuję,
Ale sił ducha na tyle nie czuję,
Żebym mógł zasiąść w tak uczonem gronie.

Szam. O nie Pegazu, tylko mieć trza konie,
By do naszego dostać się Parnasu.
Tylko tam sobie przygotuj zawczasu
Jaki madrygał, odę lub wierszyczki,
Do pańskiej suczki, albo rękawiczki,
Jaką sielanką o Chloi, Glicerze,
I o Damonie, przynieś nam w ofierze,
A król z uśmiechem twe wiersze pochwali,

Może dotknięciem ręki cię uświęci,
I twą renonę na wieki utrwali,
Że w potomności żyć będziesz pamięci,
I aureolą taką cię otoczy,
Że zwrócisz na sie wszech piękności oczy.
Włodz. z. i. Nazbyt los świetny, na zbyt wielka sława!
Szam. To cię nie nęci? motylu, motylu!
Dla ciebie widzę już nasza Warszawa,
Ma jedną różę wśród cudnych róż tylu.

J. K. S.

Z więzienia.

I.

Uwięziony.... Nieraz przechodzicie po pod owe mury, od dołu aż pod dach opatrzone w kraty i kosze po pod owe szczeliny, kędy światło i echo życia światowego wpada; obojętni nie przeczuwacie, że tam osiadł demon bolu niewymownego, ale oraz i anioł najsłodszych nadziei. Wy niesłyszycie tych jęków i modlitw, które tylko szczęk kajdan przygłuszyć zdoła. Wy niemożecie czuć owej tęskno-ty, która trapi serce więźnia. To uragan dziko szumiący, który z korzeniem wyrywa, cokolwiek w szalonym locie napotka. Wasze chorobliwe tęsknienie za kochanką daleką, lub w obcej ziemi za ojczyzną, to tylko wietrzyk, który ledwo mgłą wieczorną poruszy.

Nieraz może patrzyliście na wóz, a przemykający przed obojętnem okiem waszem, a na nim siedział mężczyzna blady, gdzieś po pod siebie ręce swoje ukrywający. Przed nim, za nim i około niego siedzą żołnierze, z najeżonym bagnetem, bronią na ostro nabitą, i ręką lada chwila gotową pociągnąć za kurek. Za tym wozem nie postępuje tłum, towarzyszący ciału, które wiozą ku ostatniej podróży tu na ziemi; tego bladego mężczyznę nie wiozą wprawdzie do grobu, ale w mury, nad które może by grób przeniósł, przeznaczony on bowiem do powolnego długoletniego konania. Przecie, choć tłum obojętnie pojrzy na ten pochód więźnia, nie jedno serce bodaj potajemnie poszle w krwawe jego ślady łzę współczucia!

Szczęśliwy więzień, nad którym się, sami nie wiedząc o tem, zlitują, którego zakutego między cztery mury tak osadzą, iż nie widzi ani słońca, ani łąk, ani pól, który nie jest przymuszony, oddechać powietrzem świeżem. Ale mając nad sobą błękit niebios, patrząc na niwy, które pokąd oko sięga, uśmiechają się w roskosznych barwach wiosny, słysząc śpiew i świegotanie ptaszat, co tak wolno bujają po pięknym bożym świecie: o! to potrzeba niepospolitej rezygnacyi chrześcijanskiej, by nie skoczyć z woza i nie rozbić więzów a chociażby wystawić się na kilka celnych strzałów.

Zbliżasz się do fortecy. Zdala już widzisz zczerniałe mury, pokryte zielenią, jak grób, zajeżdzasz w bramę ponurą, a nim przypadną na powrót ciężkie żelazne jej skrzydła, posełasz jeszcze jedno spojrzenie po za siebie, pożegnalne na długie, długie lata, a może na wieki. Jak zmora spada na twe piersi przekonanie, że odumarłeś dla wszystkiego, co ci tak miłe, tak drogie; odtąd poczynasz życie inne, życie płazu. O płaczcie nad więźniem, jak nad umarłym, bo choć powróci kiedy do was, siły jego już stargane będą.

I ja byłem więźniem. Po wypadkach ostatnich straciłem na dwa lata wolność.

Na drugi dzień po przybyciu mojem do fortecy siedziałem około południa przy oknie, i przez grube kraty patrzyłem na daleko przedemną rozsłonioną okolicę.

I znowu, myślałem, widzisz jasny dzień, a blaskiem jego opromienione góry i doliny, łąki i niwy, widzisz całą wspaniałość świata, ale znowu przez kraty. A przecie byłem uszczęśliwiony, że po owych kilkunastu dniach, przebytych w okropnych kazamatach w O**, znowu na świat patrzyłem; do celi mojej padał strumień światła słonecznego, a słońce rozpędza wszelki smutek. Ta cela moja rajem była w porównaniu z owemi kazamatami; byłem szczęśliwym — Tantalem.

Dumałem; to jasno, to ponuro snuł się wątek myśli moich; nagle obudził mię łoskot kroków na dziedzińcu. Ciekawy, jak każdy więzień spoglądnołem na dół; szedł właśnie profos, a obok dziewczyna. Miała na sobie czarną wełnianą suknię a na głowie chustkę zieloną jedwabną, a tak ułożoną, że patrząc z góry widziałem tylko profil twarzy bardzo pięknej. Milcząc przechodziła się po dziedzińcu krokiem powolnym, poważnym a nawet gracyi pełnym. Prędko więc skoczyłem do mego towarzysza niedoli, który odpoczywał, i zbudziłem go; on już od kilku miesięcy także z podobnej przyczyny, był samotnym mieszkańcem toj celi. Spodziewałem się, że się dowiem od nieko jakich szczegółów o tej dziewczynie; zawołałem go więc do okna i spytałem, czy często ją widuje?..

— Przechodzi się tędy codzień między pierwszą a drugą.

— Cóż to za jedna?

— Zabiła własne dziecię, zresztą jest ona najstarszą między nami; przebywa tu już piąty rok, skazana na lat dwadzieścia.

— Mówiłeś z nią kiedy?

— Pragnąłem od dawna, ale jej cela na pierwszem piętrze pod naszym sąsiadem, a zejść się z nią nie podobna. Dopiero po jej odejściu sprowadza na przechadzkę profos chcących korzystać z pogody.

— I nigdy nie ukazuje się w oknie podczas naszej przechadzki?.

Bardzo rzadko, i to tylko wtedy, gdy się dowie, że świeży nowicyusz przybył, a profos pewnie jej doniósł o twojem przybyciu. Ona zna każdego po imieniu, co który przewinił, na jak długo skazany, a pewnie i o ciebie się już wypytała. Będzie nad tobą biedaku szczególnie ubolewać, boś taki młody.

— Zdaje się być dobrze wychowana?

— Wiem tylko tyle, że ma bardzo pięknie mówić po francusku, że jest szlachcianką, córką, oficera nazywa się Emilia, przezwisko zapomniałem; odwiedza ją jedynie tutejszy ksiądz dziekan,, który chwali jej przyzwoite i skromne zachowanie się.

— I czy istotnie ona sama popełniła to zabójstwo? lub czy tylko spółwinowajczynią była?

— Miano ją przekonać, iż własne dziecię jedwabnym sznurkiem udusiła, ona jeszcze dziś utrzymuje, że jest niewinna, iż nawet nic nie wiedziała o tej zbrodni; jakim sposobem zaś skazać ją mogli, nie wiem, i dowiedzieć się nie mogłem dotąd; bo nasz profos nie lubi wiele mówić.

Zamilkłem. Ciekawość moja była rozbudzona, i półgłosem rzekłem do siebie: O wszystkiem się dowiedzieć muszę! Mój kolega to usłyszał, wypatrzył się na mnie, i uśmiechnął lekko. Istotnie dziś nawet nie wiem, co mię skłoniło do takiego zajęcia się tą kobietą. Postanowiłem nie namyślając się wcale, wszelkich dołożyć starań i dojść, czy ona była winną, czy niewinną.

I znowu spojrzałem na dziedziniec i z uwagą wpatrywałem się w tę kobietę słusznego wzrostu, wspaniałej postawy w każdym ruchu miała coś arystokratycznego. Drobne białe ręce były jak do modlitwy złożone. Czy podobna aby te miękkie, alabastrowe palce miały wykonać taką okropną zbrodnię. (D. c. n.)

Eupatorya.

* Miasto Eupatorya było założone przez króla pontyjskiego Mitrydata, albo, wedle Strabona, przez dowódzcę jego Diofanta. Tatarskie nazwisko miasta tego jest *Guzlewe*, które Rossyanie na Kozłów zamienili. Pallas nazwisko to wyprowadza od tureckich słów *gez* (oko) i *ew* (dom), dla tego niby, że w mieście tem były domki o jednem krągłem oknie bardzo podobnem do oka. *Gozlewe* znaczy po tatarsku *podziemia*, pieczary, a to ztąd, że w czasie panowania turecko-tatarskiego nad Krymem nie wolno było, aby świątynie obcego wyznania wystawały na powierzchni ziemi; Karaimi więc, którymi Eupatorya jest zasiedlona, urządzali swoje synagogi w wykopanych pod ziemią pieczarach. Utrzymują, że takich pieczar wiele znajduje się w Eupatoryi pod budowami, że pomiędzy niemi są pewne komunikacye, że nareszcie podobna podziemna synagoga egzystowała jeszcze w roku 1803. Zatrzymaliśmy się o jakie 500 kroków od brzegu, dla mielizny. Woda tu była jakby zaprawiona grynszpanem; słońce łamiąc w niej swoje promienie nadawało jej tysiące odcieni szmaragdu, świeżo rozwiniętych liści w maju, i tony te schodziły czasami do koloru seledynowego. Na nasze spotkanie przybyły łodzie przewoźników; przewozili Karaimi i Grecy; pierwsi w długich z szerokiemi rękawami sukniach, na drugiej wązkiej, opasanej pasem; ostatni w słomianych, z szerokiemi brzegami kapeluszach, szerokich białych szarawarach, opasanych czerwonym pasem; muskularne ich ramiona były nagie; rękawy koszuli zataczane wyżej łokcia; ich widok był piękny, przenosił nad Arno i Brentę. Mieliśmy odpoczynek od 7. do 9; popłynęliśmy więc na brzeg dla odetchnienia ziemią i śniadania, które tu na pokładzie kosztowało drogo, a udzielało się skąpo; mała szklaneczka herbaty kosztowała 40 groszy; do tego była tylko jedna galetka. Cudnie było płynąć do brzegu; siedząc na niskiej łodzi tuż nad szmaragdowem morzem, świeżość wody chłodziła mile twarz paloną od upału na pokładzie okrętu; łódka nasza za poruszeniem wioseł, jak jaskółka szybowała pomiędzy innemi przybyłemi zabierać towary przywiezione przez nas z Odessy do Kozłowa, na które tutejsi kupcy czekali z familiami na brzegu, tworząc malownicze grupy i niesłychany gwar w tatarskiej mowie, z której czasami wylatywało słówko jakieś, albo cała fraza przypominająca brzmieniem dźwięczną a starą mowę Homera. Tu nasamprzód spotkali nas stróże z komory, szukając kontrabandy, której szukano już u nas na komorze odeskiej przy wejściu do portu. Dom komory jest tu najporządniejszym budynkiem od brzegu, Dalej ogromna austerya z wielkim balkonem na morze i bulwar pusty, i także jak odeski, wysypany twardemi i ostremi morskiemi muszlami i kamieniami, Nasamprzód kąpaliśmy się w morzu; sprobowałem wody, słona okropnie, słońsza od soli, jeżeli to być może. Po kąpieli poszliśmy do tatarskiej kawiarni na dole zajezdnego domu; na progu pod poddaszem siedział poważnie Karaim z dwoma złotemi medalami na szyi i palił fajkę, był to *głowa* miasta. Kawiarnia szczególna: brudna jak nasze karczmy, z tą tylko różnicą iż zamiast zwyczajnych ław jak u nas, dzieli się na kwadratowe ostrady od rogów izby, obwiedzione poręczami, na nich niziutkie sofki tu Tatarzy, Karaimi i Grecy siedzą, piją kawę, palą fajkę i milczą czasami prowadzą rozwlekłą ucinananą rozmowę, albo grają w milczeniu w jakiegoś rodzaju szachy. Grek uwjał się po wschodniemu t. j. dwa kroki naprzód a trzy wstecz, służąc gościom. Moi koledzy ucieszyli się widząc szklanne nargile z wodą i cybuch na pół wersty zmotany jak wąż w około siebie. Każdy chciał palić przy kawie, ale nikt nie umiał; cała pociecha była ta, iż w końcu brakło tchu w piersiach; przecież murzali się fusami *à l'oriental*. Dano mi herbatę; że mi nie popsuła piersi jestem tego pewien. Kolor jej był blado zielony. Zapach przypominał woń świeżo ukoszonej tawy, musiała byé zdrowa. Bułka kwaśna. Tatarzy widząc nasz strój europejski, oddawali nam *salem* z przychyleniem dłoni do ust, do czoła i serca. *Kafedi* widząc iż tak się podobały nargile podróżnym, że aż pobledli ciągnąc dym uparty przez zatęchłą wodę ofiarował, go ustąpić, za małem wynagrodzeniem 8 rub. sr., przecież niechcieliśmy pozbawić kawiarni tej ozdoby wschodniej.

Kiedyśmy tak oddawali się słodyczom wschodniego życia, przyszła do nas uboga tatarka; stara, czarna i żółta twarz miała niepokrytą; chrypłym głosem powtarzała ciągle słowo *Ałła*, widać obiecując nam nagrodę w raju Mahometa za małą jałmużnę. Wychodząc z kawiarni ujrzeliśmy drugą równie powabną tatarkę, która kończyła toaletę, wychodząc z kąpieli; naciągała szarafary białe doształtowane czerwonym, tam gdzie miały opuścić protekcyą spodnicy. Ten widok bardzo był malowniczy! Zjawił się jakiś żydek ofiarujący nam swoje usługi, jako Cicerone; wzięliśmy go i poszliśmy do miasteczka brzydkiego, starego, w stylu tatarskim; oprócz kilku domów europejskich, wszystko to składa się z chat, których ściany, jakby gruz stary; dachy z czerepicy i tylko gdzieniegdzie wystrzeli minarecik brudny starego meczetu. Na ulicy napotkaliśmy kilka kobiet, które jakby widma jakie, prześlizgały się pomiędzy brudnemi murami, okryte białemi jak śnieg opony; zawsze brak logiki; na ulicy widzisz tylko oczy i trochę nosa z pod śnieżnej *czardy* (opony) a na brzegu kąpią się bez żadnej opony, ma się rozumieć z prostego ludu; bogaci mają haremy. Ulica w mieście tatarskiem ma swój charakter: wąska, ciasna, obstawiona domkami nizkiemi o piętrze; na dole szopa na słupkach, zajęta kramem lua warsztatem; na górze trzy lub cztery okna i poddasze szerokie, pod którem w upały Tatarzy siedzą i palą fajki. Na środku drogi *arba* (wóz tatarski) i przy niej leżą woły z zamarłem okiem i przeżuwając poważnie; albo znowu stoi wielka karoca i wielbłądy. Przechodzi Tatar z siwą brodą i wielką jak poduszka czapka białą, obłożoną na około czarnem

suknem; jest to zwykłe ubranie głowy tych Mośleminów, co odbyli pobożną pielgrzymkę do Mekki, tam znowu przeszedł ktoś w czerwonym fesie i białym zawoju. Cała masa Tatarów nosi baranie równe wszędzie i nizkie czapki, których nigdzie Tatarzyn nie zrzuca. Nasz żydek poprowadził nas nasamprzód do Meczetu. Meczet ten jest główną bożnicą Moslieminów w Eupatoryi;nazywają go Sułtańskim Meczetem i Meczetem piątkowym dżuma-dżami. Jest to największy Meczet w całym Krymie; ma on czternaście kopuł, z których największa średnia pokryta jest miedzią a reszta małych ołowiem. Nie zważając na dobry stan tego meczetu, a zresztą poprawionego w 1834 roku, jest to dosyć dawna budowa. (d. n.)

Rozmaitość.

* **Cincinatus amerykański.** W roku 1814. wydział obywateli państwa Południowej Karoliny, w Zjednoczonych Stanach był w kłopocie, kogoby na gubernatora wybrać. Zgłaszali się wprawdzie kandydaci, ale jakoś sami tacy, którzy nie mieli powszechnego zaufania. Radzono więc i kłócono się już kilka dni, a jeszcze nie wpadli na męża, któryby ogółowi się podobał. Wyrwał się nareszcie O'Neal, młodzik, czemu nie wybierają jenerała Dawida Williams? Ledwo imię to wpadło między wyborców, a już wszyscy krzyknęli jednogłośnie: On będzie gubernatorem. To nasz. Nadszedł dzień elekcyi, i wybrano jenerała Williams, z przeważną większością głosów. Poleciał goniec z doniesieniem do niego i pytaniem, czy przyjmie wybór obywateli. Po długiej jeździe przybywa poseł do mieszkania jenerała w okręgu Marlborough i pyta czy pan w domu, a dowiedziawszy się, że na plantacyi przebywa, udaje się za jenerałem, by mu jak najprędzej depeszę oddać. W pół drogi spotyka tęgiego męszczyznę, w grubej kitli, popędzającego muła przed sobą.

— Czy tędy droga do plantacyi jenerała Williams? — zapytał się poseł poganiacza.

— Tędy, mój panie, masz jeszcze ćwierć mili do niej.

— Jenerał w domu?

— Nie, mój panie.

— A więc gdzież go znajdę?

— Jam jest jenerał Williams.

Poseł namyślał się, nie dowierzał i zawołał:

— Nie żartuj pan. Mam ważne depesze do jenerała, jeśli pan nim jesteś, proszę... i wyciągnął z zanadrza pakiecik.

Pan Williams otworzył, i jakże zdumiał się, widząc się wybranym na gubernatora mimo wiedzy i woli swojej. Wziął posła ze sobą do domu napisał list, przyjmując to wezwanie usług obywatelskich i oznaczając czas, kiedy do stolicy południowej Karoliny, Kolumbii przybędzie.

O trzy kwandranse na dwunastą w dniu oznaczonym przyjeżdża tęgi mężczyzna wierzchem do miasta, przywiązuje konia do drzewa i pospiesza na kapitolium, gdzie właśnie tłum narodu już czekał zgromadzony dla przywitania gubernatora. Mało kto znał go z osoby. Ów mężczyzna siadł sobie na stołek, trochę zfatygowany, a o samej dwunastej powstał, przemówił i zentuzyazmował całe zgromadzenie. W kilka dni objął zarząd państwa, i dotąd wspominają ze czcią imię jego.

* Pozawczoraj przybył do Lwowa Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Karol Ferdynand, a wczoraj rano wyjechał Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Albrycht do Wiednia.

* Mali wirtuozi Raczkowie, dają dziś koncert drugi a jutro wyprawia towarzystwo muzyczne wielki koncert wokalnoinstrumentalny.

* Dnia 22. b. m. otwarty został telegraf z Zaleszczyk do Lwowa. Linia ta telegraficzna wielki wpływ wywrze na szybką komunikacyę wiadomości z Krymu i z Odessy. Gdy statek parowy w 18 najdalej godzinach staje z Sebastopola w Odessie a 36 mil z Odessy do Zaleszczyk, kuryer w 30. godzinach przebiega, więc wiadomość z Sebastopola w 48 do 50 godzinach rozejść się może teraz przez Lwów po całej Europie i dojść w tym samym czasie do Wiednia, Paryża i Londynu, zkąd dopiero po 5 lub 6 dniach do Lwowa przychodzi napowrót.

Przyjechali od dnia 22. do 24. sierpnia do Lwowa:

PP. Jaworski Mikołaj, z Kobylnicy. Ryszczewski Józef, hr. z Podwołoczysk. Tretter Konstanty, z Łonia. Tretter Hilary, ze Złoczowa. Winnicki Aleksander, z Hodynia.

PP. Augustynowicz Seweryn, z Krakowa. Dobrzański Julian, z Gródka. Jordan Andrzej, z Krakowa. Cieleski Ludwik, z Łoziny. Nahujowski Antoni, z Czernicy. Głogowski Ludwik, ze Psar. Smarzewski Seweryn, z Hankowic. Turkuł Tadeusz z Krakowa. Szymanowski Franciszek, ze Stanisławowa. Lipiński Karol, z Orłowa. Romański Hipolit, z Łuki.

PP. Gutowski Kazimirz, Zagórski Michał, ze Stryja. Dzieduszycki Maurycy hr., ze Złoczowa. Kielanowski Tytus, z Krakowa. Starzyński Adam hr., z Krzywczy. Dzieduszycki Kazimirz hr., z Niesłuchowa. Lewicki Kajetan hr., z Pragi.

Wyjechali od dnia 22. do 24. sierpnia ze Lwowa:

PP. Górski Wincenty, do Lipca. Wodzicki Leon, hr. do Podhajec. Drohojewski Józef, hr. do Balic. Winnicki Tytus, do Milatycza.

PP. Czacki Aleksander hr., do Krechowa. Papara Antoni do Batyatycz.

PP. Puchalski Marcin, do Przemyśla. Wojna Ignacy do Pietrzyc.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	—.	Medyolan za 300 lirów	115 3/4.
Augsburg za 100 złr.	117 7/8	Paryż za 300 franków	137 5/8
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	23
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy . . .	117.	Srebra agio	17.
		Pożyczka 5% 85 1/16. 4 1/2	73 3/4.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B. . . .	
Hamburg za 100 tal. banco.	86 3/8.	Akcye banku . . .	1256
Konstantynopol	—.	Kolej północna	—.
Liwurno.	—	Obl. ind.	77.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 26.	Nowa pożyczka z loteryą	97 3/4.
Marsylia	—.		

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 27	złr. 5	kr. 31.
Dukat cesarski	„ 5	„ 32	„ 5	„ 35
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9	„ 32	„ 9	„ 36.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 50	„ 1	„ 51.
Talar pruski	„ 1	„ 46	„ 1	„ 48
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	„ 1	„ 20	„ 1	„ 21.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„ 87	„ =	„ 87	„ 30.

Obligacye indemnizacyjne 73 40 do 74 Złr. 15 kr.

Lwów 25. Września. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 26 złr. — kr. do 30 złr. 45 kr. — Żyta po 20 złr. — kr. do 24 złr. — kr. Jęczmienia po 15 złr. 45 kr. do 17 złr. — kr. Owsa po 14 złr. 20 kr. do 16 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 16 złr. — kr. do 19 złr. 45 kr. — Ziemniaków po 8 złr. 30 do 9 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 27 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 23 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 5 kr. do 2 złr. 30. kr. Centnar słomy 1 złr. 52 kr. do 2 złr. 7. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 59 kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**